

Bocian

W Pitągowie, czyli... opowieści z pudła

2010-10-27



Urszula Kozłowska:

- dolnoślązaczka, rodowita świdniczanka, żona i matka (dorosłego syna i córki)
- autorka wielu książek dla dzieci (wierszem i prozą)
- wielbicielka zwierząt wszelkiej maści, pańcia ponad 13 letniej suczki Majki, znalezionej jako szczenię z dwójką braci w reklamówce na torach kolejowych oraz trzyletniego królika Stefana, który z w/w sunią śpi na jednej kanapie i pije wodę z jednej miski. Tzw. miłość od pierwszego wyjrzenia!
- sezonowa opiekunka ptasząt w potrzebie: wróble, gołębi, a przede wszystkim jerzyków, efektem czego jest dziennik „W Pitągowie, czyli opowieści z pudła”

Od autorki powyższego dziennika: Proszę nie traktować tego tekstu jako instrukcji opieki i karmienia jerzyków. Dziennik jest efektem moich pierwszych doświadczeń w tej dziedzinie i rozpaczliwej walki (trochę na oślep) o życie

tych pięknych stworzonek. To bardziej relacja z doświadczenia emocji, jakie rodzą się w człowieku, gdy w ręce wpada małe, pierzaste ni to ni owo, które zaczyna być KIMŚ.

20.07.2009. Dzień 1 (poniedziałek)

Kasia znalazła w drodze do pracy małego jerzyka. Ptaszek jeszcze nie umie fruwać. To podrostek, który zbyt wcześnie wyleciał z gniazda i nie potrafił już do niego wrócić. I co z takim malcem robić?!... Na pożarcie dzikim kotom go nie zostawimy! Wylądował w kartonowym pudle po papryce na stercie papierowych ręczników. Jest taki malutki!... Czym takiego szkraba karmić?

Kasia sięgnęła po informacje do internetu i poleciła mi zakup: mąki kukurydzianej, kleiku ryżowego, wiejskiego serka, glukozy i tabletek Vitaralu. Z tego ukręciła w podanych proporcjach papkę, do której jeszcze dodała trochę białka jajka ugotowanego na twardo i powiedziała, że z tego trzeba robić kulki, i podawać na patyczku do dziobka. Dobrze sobie! Tylko: po pierwsze kulki nie chcą się dać formować, bo ta papka jakaś niezbyt plastyczna, po drugie ptasiorek dzioba nie otwiera choć głodny pewnie jak diabli!

Nowa wiadomość: jerzyki karmione sztucznie, nie otwierają dziobów i trzeba im je rozwierać na siłę! No to ładnie... Ptaszek się wyrывa, papka do patyka się klei i do dzioba trafia niewiele, za to na resztę ptaszka całe mnóstwo. Sklejone piórka trzeba szybko letnią wodą przemywać, bo robi się skorupa.



21.07.2009 Dzień drugi (wtorek)

Karmienie ptaszka papką wychodzi nam bokiem! Kasia dzwoni do wrocławskiego ZOO po nowe instrukcje. Miła pani z działu ptaszkowego przesyła jej meilem nowe instrukcje i radzi karmienie kurdupla larwami mącznika. Zasuwam do sklepu zoologicznego i wracam do domu z pudełkiem ohydnych robali, żeby mizerotkę podkarmić. Tylko, że tym robakom trzeba najpierw poobcinać łby, bo za dużo w nich chityny! Znajduję w przyborniku skalpel, którym dotąd wypruwałam zepsute suwaki z ubrań, wywlekam pęsetą na papierowy ręcznik robala za robalem i...gilotylna!!! Blee... Truchła, zgodnie z zaleceniem, umieszczam na spodeczku z wodą (bo jak się namoczą, to od razu pojenie będzie załatwione) i przystępuję do karmienia ptaszka, roboczo zwanego Pitągiem. Pitąg krąci się i łebkiem trzepie, boję się, że dziób mu ścisnę za mocno albo oko wgniotę, bo to taka lichota, więc wychodzi średnio: jeden robal w dziobie, dwa we włosach, tudzież w mym dekolcie lądują. Blee... Po heroicznej walce umieszczam siedem robali we wnętrzu Pitąga i dumna dzwonię do Kasi, żeby się pochwalić jaka jestem dzielna, po czym robię sobie solidnego drinka. Po pracy Kasia tnie łby (nożyczkami, bo tak jej wygodniej) już przy trzecim prosi o zrobienie małego drineczka. Hi,hi,hi!

22.07.2009 Dzień trzeci (środa)

Pitąg wchłania po 7-8 robali co 2-3 godz. Począwszy od 7,00 rano, a skończywszy na 21,00. Rano karmi Kasia przed wyjściem do pracy, a potem ja przejmuję opiekę nad maluchem. Liche to jakieś, ale żyje i nawet czasem okiem łypnie, skrzydełkiem zamacha... W dzień wystawiam pudełko z ptaszorkiem na balkon, żeby się powygrzewał, bo ciepło mieć musi, a potem siedzi pod lampą biurkową jak na solarium. Mierzymy mu długość skrzydełek, bo Kasia wyczytała na jakimś forum w internecie, że musi mieć co najmniej 16 cm. żeby mógł

polecieć. Nasz ma niecałe 11!...Ile czasu trzeba, żeby skrzydło urosło o 5 cm?!..

23.07.2009. Dzień czwarty (czwartek)

Ptaszek wcina i robi się coraz żwawszy. Obcinanie głów robalom, to już dla mnie rutyna! Choć z drugiej strony... ileś tam żyć muszę przerwać, żeby jedno ratować.

24.07.2009. Dzień piąty (piątek)

Świat owadzi zemścił się na mnie za mordowanie larw. Pszczoła użądliła mnie w nadgarstek tak solidnie, że łapa mi spuchła jak bania. Wylądowałam na zastrzykach w ośrodku zdrowia. Boli jak cholera, ale łykam tabletki, pijam wapno, smaruję łąpsko i Pitąga dalej skarmiam bezgłowymi robalami.

25.07.2009. Dzień szósty (sobota)

Trzeba lecieć do sklepu po nowe mączniki, bo w pudełku już same niedobitki. Lecę, a tu niespodzianka:

- Nie ma. Możemy zamówić na piątek, bo tylko raz w tygodniu dostawca przywozi.

Na piątek?!... Przecież to dopiero za tydzień! Czym ja Pitąga będę karmić?!

Objechaliśmy z małżonkiem wszystkie sklepy zoologiczne i wędkarskie w mieście, i wszędzie odpowiedź taka sama: - Najwcześniej na piątek. - Widać jeden dostawca...

W wędkarskim pan sprzedawca proponuje mi tzw. pinkę, jako robale zastępcze dla Pitąga:

- Robak, to robak przecież!
- A co one takie kolorowe...? – pytam, zaglądając przez przezroczystą pokrywkę pudełka.
- No, żeby ryba lepiej brała. – podpowiada jakiś wędkarz z kolejki. – Farbowane!
- A to mi się ptaszek nie struje? – pytam pełna obaw.
- To niech pani wybiera białe, te nie farbowane. – uświadamia mnie sprzedawca.

Biorę... Trzeba się rzadzić tym co jest. Pitąga dostaje na kolację trzy pinki i cztery mączniki.

< Dzwonię do Kasi, która na weekend pojechała do Wrocławia i mówię jak jest. Dostaję solidny ochrzan za eksperyment z pinkami. Na szczęście ptaszorkowi nic nie dolega, więc jest ok.

26.07.2009. Dzień siódmy (niedziela)

Resztką mączników na śniadanko. Co dalej...? Podobno można jeszcze karmić skrobaną wołowiną lub kurczakiem, albo białym serkiem. Grudki wiejskiego serka za duże, więc dzielę je na mniejsze części i próbuję umieścić w gardziółku Pitąga. Efekt taki jak przy papce ryżowo- kukurydzianej! Pitąga cały w serze, łbem trzepie, a ja mam nabiał na rzęsach i w nosie.

Dobrze, że mam jeszcze pieczeniówkę! Dydolę na włókienka wielkości robaków, bo ze

skrobaniem jakoś kiepsko mi idzie, karmię ptaszeczka. Odkładam mu trochę na potem, a z reszty robię obiad dla rodziny. W międzyczasie poję maliznę wodą z małej strzykawki, Otrzepuje się, pryska mi po oczach, ale coś tam łyka. Wydaje mi się jakiś niemrawy...



27.07.2009. Dzień ósmy (poniedziałek)

Kasia nakarmiła rano Pitąga i poszła do pracy. O dziewiątej naszykowałam bewsztyczki i idę dożywiać. Ptaszek podejrzenie mi wygląda: leży na dziobku i oczka ma zamknięte. Wyciągam go z pudełka, a nieborak leci mi przez ręce! Głowa wisi, pazurkami palców się nie chwytają...

„No to koniec!” – myślę. – „Nie udało się... A już dzisiaj byłby tydzień!”

Rozmawiam z Kasią na gg i przygotowuję ją na smutny fakt, że jak wróci z pracy, pewnie już ptaszorka nie będzie. Kasia radzi mi, żebym zadzwoniła do tej pani z ZOO. Dzwonię....

- Może to ta zmiana pokarmu? – pytam, a pani skłania się ku moim przypuszczeniom i pyta, czy malec się wypróżnia.

„Może ta wołowina nie skrobana, a siekana?!...” – myślę pełna obaw, czy nie dogodziłam malcowi.

- Proszę mu delikatnie pomasować brzuszek wacikiem, bo prawdopodobnie się „zatkał”. – radzi pani.

„Brzuszek?!...A gdzie on ma brzuszek jak to taki szkieletor?!” – myślę sobie, ale masuję w miejscu, gdzie spodziewam się, że brzuch powinien być. Mamy mały sukces wydalniczy, ale maluch dalej źle się czuje. Traci przyczepność do podłoża i wywala mi się „kołami do góry”.

Kasia sugeruje, żeby jeszcze do weterynarza podjechać, że może coś poradzi, więc myślę sobie, że do stracenia już nic nie ma... Wyciągam małżonka z pracy i jedziemy! Młoda pani doktor masuje brzuszek Pitąga, a ten fajda na kozetkę. Już trochę lepiej trzyma łypek.

W grupce studentów weterynarii, którzy przyglądają się tej scenie, jest Kacper, miły chłopak, który ma własną hodowlę mącznika w domu, bo skarmia tym swojego żółwia. Po pracy obiecuje nam podrzucić trochę robali. Super!
Ptaszek wraca do życia po spożyciu robali. Hura!!!

28.07.2009. Dzień dziewiąty (wtorek)

Robale od Kacpra są wielkie w porównaniu z tymi sklepowymi. Kroję je na 2-3 części, ale nie na długo starczą. Lecę do sklepu zoologicznego i zamawiam na piątek pudełko.

29.07.2009. Dzień dziesiąty (środa)

Pitąg hasa jak nowy! Przemierza pokój na piechotę rozglądając się ciekawsko.

- Którędy do Afryki? Którędy do Afryki? – świergoli (a przynajmniej nam się tak wydaje).
- Oj, chłopie, na piechotę to ty do Afryki nie zajdziesz...

Przez dziesięć dni skrzydełka urosły mu o dwa centymetry. Ma prawie 13! Robimy mu fotki. Przystojny facet jest! Facet?!... A ciort go tam wie...

30. 07.2009. Dzień jedenasty (czwartek)

Wciskam Pitągowi po dziesięć robalków na karmienie. Nie wiem czy to dużo, czy mało, ale w proporcji do jego rozmiarów, to tak jakbym ja wrębała dziesięć solidnych parówek! A może powinnam dawać mu więcej...? Powiedzonko, że ktoś „je jak ptaszek” jest w końcu mocno przewrotne!

Oj, czy starczy nam żarcia do jutra?!

31.07.2009. Dzień dwunasty (piątek)

Lecę po robale. Po namyśle biorę dwa pudełka, żeby nie brakło. Kasia jedzie dzisiaj na 10 dni do Władysławowa. - Rety! Zostaję sama z karmieniem Pitąga, a to takie absorbujące. Nawet na dłuższe zakupy nie można wyjść z domu, bo trzeba lecieć i w dziób ładować. Jakbym miała takie dwa, to bym chyba sfiksowała!

Dzwoni komórka. Co to za numer?! - myślę, spoglądając na wyświetlacz.

- Dzień dobry! – odzywa się młody, męski głos z drugiej strony.- Ja dzwonię z lecznicy. Ktoś nam dzisiaj podrzucił jerzyka. Dzwonię do pani, bo pani była u nas ostatnio z małym jerzykiem.

- To nie mój! – oświadczam stanowczo, bo mój Pitąg właśnie smacznie zasnął po sutym podwieczorku.

- Ja wiem ... Tylko dzwonię z prośbą, bo... bo nie mamy co z nim zrobić, a skoro pani już opiekuje się jednym...

- Wie pan co...? – jąkam w nagłej panice, jakby rażona piorunem – Nie wiem czy dam radę?! Poza tym 22.08 mamy dwudniowy wyjazd całej rodziny na wesele i nie wiem, co w tym czasie z jednym zrobić!

- To ja się zobowiązuję, że na te dwa dni wezmę je oba pod opiekę, tylko niech pani przyjmie tego drugiego. On jest już spory i może nawet za parę dni polecieć. – przekonuje mnie młody mężczyzna (jak się okazuje Kacper, czyli chłopak, który własnemu żółwiowi od pyska odejmował mączniaki dla naszego Pitąga).

Wszystkie argumenty mam wytrącone z rąk, więc pytam tylko: - To co...? Podwiezie go pan do mnie?

Kacper upewnia się co do adresu i po dziesięciu minutach przywozi ptaszka. Rzeczywiście ptaszek jest spory i wygląda dużo „doroślej” niż „nasz”. Jego skrzydełka mają 15 cm!

Kasia przerywa pakowanie walizek i bierze niepewnie „nowego” na ręce:

- Ojej! A co z jego lewą nóżką?! – pyta, stwierdziwszy, że ptaszorek nią nie rusza, nie mówiąc już o chwytaniu się dłoni.

- Nawet nie zauważyłem... – mówi Kacper.

- Może złamana, albo jakiś niedorozwój – snujemy wspólne przypuszczenia...

Tak, czy owak ptaszek trafia do pudełka, a „nasz” Pitąg biegnie mu na powitanie z głośnym świergotem. Przy tym piórka dziobie mu energicznie.

- Jak pięknie się przywitałeś, kochanie! – stwierdza Kasia. – Jestem z Ciebie dumna.

„Kurcze...” – myślę sobie. – „mnie to raczej wygląda na próbę wypchnięcia intruza z gniazda.... Ale na ptaszorkach, to ja się nie znam...”

Kacper zwraca mi uwagę na to, że biurkowa lampa nie ułatwia sprawy dogrzania ptaszków. Powinny mieć temp. ok. 40 st. C! Termoфор z wrzątkiem łąduje w pudle.



01.08.2009. Dzień trzynasty (sobota)

Kasia dzwoniła, że szczęśliwie dojechali nad morze. Na wpół przytomna (bo przez pół nocy nasza jednooka kotka Zuzia bawiła się w berka z królikiem Stefanem) lecę zająrzeć do

„Pitągowa”. Oba ptaszki w rozczulającej pozie, przytulone do siebie, tudzież do zimnego termoforu. Duży, zwany odtąd Big Pitągiem, w ciszy oczekuje na papu, za to mały, czyli Mini Pitąg, niczym nakręcona pozytywka, domaga się napełnienia gardzieli! Giloty na robale idzie w ruch. Najpierw trzeba zatkać rozdarty dziób. Piętnaście wystarczy?! Big Pitąg bierze co dają w milczeniu i dziobem nie kłapie. Zrównoważony taki, czy niemowa?!....

Lecę do zoologicznego i dokupuję jeszcze dwa pudełka robaków. Dobrze, że jeszcze były, bo na dwóch trzeba więcej wikt!

Pogoda piękna. Jest ponad trzydzieści stopni chyba. „To w prawdzie nie czterdzieści, ale chyba nie zmarzną...” myślę sobie i wystawiam pudło z Pitągami na balkon. Osłaniam od wiatru i nadmiernego nasłonecznienia. Po pół godzinie idę zajrzeć jak się mają. Patrę, a one jak dwa krokodyle z rozwartymi paszczami. Jezu! Przegrzały się, czy co?! Wciągam pudło do pokoju i strzykawką wkrapiam każdemu do dzioba trochę wody. Momentalnie wracają do normalnego stanu. Ufff!.... Byłabym ugotowała nieboraków.

02.08.2009. Dzień czternasty (niedziela)

Oba Pitągi funkcjonują nieźle. Wsuwają po dziesięć robali i wałają kupska co chwilę. Big robi białe, zwarte kulki, a mały kleksy sadzi co chwila gdzie popadnie. Nie nadążam ze zmianą papierowych ręczników!!!

03.08.2009. Dzień piętnasty (poniedziałek)

Lecę do sklepu zoologicznego zamówić na piątek cztery pudełka robali. Dzwonię do pani z ZOO z wieścią, że nam się rodzina powiększyła:

- Ten nowy ma coś z łapką... a mały niby żywotny, ale jakiś wąły mi się zdaje.... Co pani na to, żebyśmy jutro z nimi podjechali do Wrocławia? Będę spokojniejsza jak pani na nie spojrzysz, oceni ich stan oraz szanse?...

- Proszę zadzwonić koło piętnastej - odpowiedziała miła pani – zapytam ornitologa, co on na to.

Dzwonię o 15,00. Okazuje się, że pan ornitolog jest jak najbardziej przeciw podróży ptaszorów, bo to dla nich zbyt duży stres. A z łapką dużego, cokolwiek by to nie było, i tak nie da się nic zrobić. No bo nawet jeśli złamana to co, w gips?! Trzeba liczyć na to, że może sama jakiś dojdzie do siebie, albo, że ptaszek poradzi sobie bez niej.

Przekazuję pani informacje co do wymiarów skrzydełek i ogólnego stanu ptaszków z zapytaniem co myśli, bo na moje oko ten nowy, większy mógłby polecieć za jakiś tydzień, dwa, ale mały, to pewnie jeszcze z miesiąc posiedzieć musi.

- Proszę pani, nic podobnego! – wyprowadza mnie z błędu rozmówczyni. – Nie ma tyle czasu! Jerzyki odlatują do Afryki między piętnastym, a dwudziestym sierpnia.

„No to pięknie...” – myślę. – „a jak nie odlecą to co? Będą u nas zimować?! Na choince siedzieć w święta?...”

Po dwóch tygodniach mały Pitąg ma skrzydełka długości prawie 14 cm. To półtora

centymetra na tydzień!

Wprawdzie pani z ZOO powiedziała, że ważniejsze są proporcje (długość sterówek ogona taka jak skrzydełek) ale chyba czym większy będzie, tym lepiej sobie poradzi.

04. 08. 2009. Dzień szesnasty (wtorek)

Zmieniam zamówienie na sześć pudełek. Mam wrażenie, że dziewczęta ze sklepu patrzą na mnie z troską. Czyżbym zwariowała?! Ale już wiem, że robali do piątku mi nie starczy, to co mam robić?!

Muszę oszczędzać.... Skrobana pierś z kurczaka! Skrobię i pęsetą ładuję w dzioby. Mięcho klei się do pęsety, więc palcem popycham, ale te dwa dranie tak się kręcą, że No, coś im tam w tych małych przelykach umieściłam, ale czy to wystarczy?!...

05.08.2009. Dzień siedemnasty (środa)

Wpadłam na genialny pomysł, że może by im to mięcho strzykawką podawać?! Ale mięcho, wprawdzie wychodzi ze strzykawki cieniutkie jak nitka, ale jak strzykawkę cofam, to nitka wisi i wyciągam wszystko, co w dziób wpakowałam. Żeby się to cholerstwo tak co centymetr urywało... A może by tak pomieszać to z białkiem jajka na twardo...? Posiekałam białko, dodałam do mięcha. Nieźle! Zmieniła się struktura papki i wpada porcjami do paszczydełek! Tylko, że siekane białko przechodzi przez otwór strzykawki jak gumowa piłka. Chociaż posiekałam, roztałam widelcem, to jednak za duże kawały i Piągi się zatykają. Mąż mi zrobił przedłużkę na strzykawkę. Teraz łatwiej mi w dziobki trafiać. Poza tym, udoskonaliłam system: mieszankę kurzo-jajeczną przecieram przez stylonowe sitko i taką, gładką masę włączam do gardziołków Piągów. Widać, że im to smakuje, bo łykają chętnie. Ale jestem zorganizowana... Już nic mnie nie zaskoczy!

Dzwoni telefon. Odbiera mój mąż i słyszę jak wrzeszczy do słuchawki: - Zwariowałaś! Matka już ledwie żyje! No co ty?!

Pełna złych przeczuć pytam: - Trzeci...?

- Masz tu synka, chodź... – odpowiada małżonek.
- No co tam? – pytam (jakbym nie wiedziała co usłyszę...)
- No, mamuś, bo tu na parkingu jest taki jerzyk, co nie umie jeszcze latać...
- Nie gniewaj się, synku, ale nie dam rady! To nie chodzi tylko o opiekę, ale o to, że do 20.08 jerzyki nieodwołalnie muszą odlecieć do Afryki!
- No, ja wiem, mamo, ale... Oj! Włazł pod samochód. Zadzwoń za chwilę.
- Może jednak poleci...? –z nadzieją wyrażam pobożne życzenie i wracam do karmienia Big i Mini.

Nie poleciał...

- Mamo, bo myśmy z jedną panią zdjęli z niego takiego wielkiego kleszcza! Chyba jeszcze się nie zdążył przyssać, bo łatwo dał się zdjąć. – dzwoni Michał po dziesięciu minutach.
- Misiek, ale trzech to ja już nie dam rady!
- Mamo, ja wiem, ale proszę... chociaż na razie! Potem poproszę koleżankę, może się nim zajmie?...
- A duży jest? – pytam z nadzieją.

- No, wygląda na dorosłego, tylko, że jakby ołów miał w dziobie.
- Co?!
- No próbuje podfruwać, ale łeb mu na dół leci.
- Przywoź....

Po dziesięciu minutach nowy Pitąg jest w moich rękach. Jezusie! Toż, to najmniejsza malizna! Od razu mierzę mu skrzydła. - 11 cm! – stwierdzam przerażona. – To tyle, co miał Mini na wejściu, czyli ponad dwa tygodnie temu!

- Ale specjalistka! – kwituje z poważaniem synek, po czym proponuje mi dwie dychy na robale.
- Obejdzie się... – kwituję jego szczery gest. - Nie w tym rzecz! Co będzie jak mi trzy ptaszory na zimę zostaną?! Oszaleję...

Pitąg numer trzy ląduje w pudle. Big nie reaguje. Za to Mini od razu do niego leci i.... oba maluchy rzucają się na siebie z otwartymi dziobami, jakby chciały się wzajemnie pożreć! Na szczęście mam w strzykawce resztki zbawiennej papki, którą zatykam zgłodniały dziób „trzeciego”.

No... to teraz trzeba zmienić nomenklaturę. Mini przekazuje swoją ksywkę „nowemu”. Teraz on jest Midi! Konsekwentnie Big Pitąg – Maks!

Dzwonię do Kacpra:

- Niech mnie pan ratuje! Mączniaki się skończyły, a nowe będą pojutrze! Nie mogę ich karmić samą papką kurczakowo - jajeczną!
- Dużo nie mam, ale jakoś się podzielimy...- odpowiada . – Będę wieczorem, koło dwudziestej.

Jest Kacper. W pojemniku z „jajka-niespodzianki”, między płatkami śniadaniowymi, przywozi nam trochę robali.

- Więcej nie mam... – stwierdza nieśmiało.

I tak jestem bardzo wdzięczna. Pokazuję mu nowego ptaszorka i tamte dwa, które już zna. Jest zaskoczony ich dobrym stanem i tym, że w ogóle tyle czasu przeżyły!... Chyba jednak niezła ptasia mama ze mnie...

Gawędzimy sobie z Kacprem przy herbatce. O rety! Już 21,30! Przegapiłam porę karmienia! Pitągi śpiące nie dają się już nakarmić. Plują robalami, marnotrawiąc deficytowe źródło cennego białka.



06.08.2009. Dzień osiemnasty (czwartek)

Karmię Pitągi papką, oszczędzając mączniki, których niewiele w jajku – niespodziance czeka na rzeź.

Mąż wyjechał w podróż służbową, więc jestem ze zwierzyńcem sama. Psa wyprowadzić, kotu kuwetę sprzątnąć, królisiowi sianka.... No i jeszcze trzy Pitągi. Obłąd jakiś!

Moje przyjaciółki przekazują mi wyrazy podziwu, ale boję się, że w końcu pomyślą, że klepka numer pięć całkowicie mi odpadła...

Rano był u mnie tatulek i rozczulił się nad Pitągami. Wierzy, że mi się uda wyprawić je na czas do Afryki. Ale mój kochany tata zawsze we mnie wierzy...

Południe:

Przy karmieniu Maksi złapał mnie chorą łapką za palec! „O dzięki Ci, Boże! To znaczy, że nie jest tak źle i łapka zdrowieje!” – pomyślałam i odtańczyłam w kuchni indiański taniec dziękczynny. Kurde... a może to był taniec z prośbą o deszcz?!... Nie bardzo znam się na tańcach indiańskich, więc jak jutro będzie lało... Biorę to na siebie.

Popołudnie...

Przyszła moja siostrzyczka, Krysia na kawkę. Karmię Pitągi papką i popijam rozpuszczalną. Odstawiam Pitągi do pudła. Za jakiś czas zaglądam czy wszystko w porządku i widzę na papierowym ręczniku zieloną, podejrzanie wyglądającą kupkę. Maksi od samego początku robi przepisowe białe kulki, więc to nie jego. Któryś z mniejszych...

Po kawce odprowadzam siostrzyczkę, a przy okazji odcedzam pieska i czym prędzej wracam do Pitągów. Śpią... Chyba... Sięgam do „jajka-niespodzianki” i pospiesznie dokonuję egzekucji na uprzednio odliczonej połowie robali (reszta na jutro!). Wielkie... Kroję je na 2-3 kawałki.

Mam 35 porcyjek! 35 na trzy się nie dzieli!!! Maksi 10, Midi 12, Mini 13, bo najmniejszy! – postanawiam szybko. Wciskam w dzioby i obmyślam dalszy plan działania. Kolacyjka będzie lekka: białko jajka na twardo, przetarte przez sitko na pewno im nie zaszkodzi. Oglądam w tv Dr. Hausa i przecieram... Podawanie strzykawką tego dania się nie sprawdza, bo najpierw kapie sama woda, a potem robi się suchy korek, który nie sposób wycisnąć. Pęsetą jeszcze gorzej! Trochę im wpakowałam, ale to nie wystarczy. Pospiesznie przecieram przez sitko trochę serka wiejskiego i dokarmiam. Do nędznej kolacji dokładam im gorący termofor i... życzenia dobrej nocy. Mam nadzieję, że rano spotkamy się w komplecie... Wciąż towarzyszy mi lęk o te kruche stworzonka, a z Midim już nieco podżyłam.

Wychodzę z pieskiem, a po powrocie ochlapuję się z grubsza i padam na łóżko. Nie mam już siły wejść do wanny!!!

Aby do jutra, do 16,00... Będę świeże robale!

07.08.2009. Dzień dziewiętnasty (piątek)

Rano, godz. 6,30 . Podchodzę niepewnie do pudełka przykrytego gazą. Cisza... Odpinam klamerki do bielizny, przytrzymujące gazę na brzegach i nagle jakby ktoś radio włączył! Świergot taki, że bębenki mało nie popękają! Najgłośniejsze, jak zwykle drze się Midi (ten średni, którego przyniosła Kasia). Mini (podrzutek Michała) popiskuje nieśmiało. Jest jakiś taki... jakby anemiczny. Kiedy go biorę na ręce, to jakby nic nie ważył, choć wygląda na cięższego. Jest taki grzeczniutki, ale jakby smutny. Maksi jak zwykle milczący i zrównoważony. Spogląda tylko na mnie bystrymi oczkami.

Reszta robaków od Kacpra traci dla nich głowy. Niestety to tylko taki aperitif, bo wiele tego nie ma, ale na pierwszy głód wystarcza. Wymieniam wodę w termoforze i owijam go w ściereczkę. Ogrzewanie znów działa! Cała trójka spiesznie tuli się do kraciastego piecyka w kształcie serduszka. Do popołudnia musimy przetrwać na jajku i twarożku wiejskim.

Idąc do kuchni kątem oka widzę jak królik Stefan podskakuje na swoim postanku w dużym pokoju. Skacze jak sprężyna! Rzadko to robi, więc z pewnością jest coś na rzeczy. No tak... Róg szuflady w komodzie wygląda jak po ataku wściekłych bobrów!!!

- Zwariowałaś?! – wołam. – Zrujnujesz mnie, szkodniku!

Patrzy na mnie wcale nie zmieszany, różowym nosem rusza pociesznie i na tyle skutecznie, że lecę zaraz po zielony koperek do lodówki. Stef chrupie go z chytrą minką i niezachwianą pewnością, że cokolwiek by zrobił, aparycja słodkiej maskotki chroni go niczym immunitet. Tu akurat się nie myli...

Kotka Zuzanna znów przywlokła do mojego łóżka wszystkie zmywaki z kuchni. Mokra!

Muszę zmienić pościel. Nie wiem, czy się gniewać, bo może to prezent?!....

Tylko psinka grzecznie wyciąga się na mojej kołdrze brzuchem do góry.

- Oj, tak, tak... Ty jesteś najgrzeczniejsza z tego towarzystwa. – zaspakajam jej próżność, klepiąc po brzucholu. Zadowolona wije się przy tym jak wielki, tłusty robak.

Robak???!!!...Niech ta Kasia szybko wraca i trochę się zajmie karmieniem ptaszątek, bo już mi chyba w dekiel wali!

Wskakuję w dzinsy i koszulkę, wypijam w biegu parę łyków kawy i idę z Majką na spacer.

Zadowolona, że wreszcie skupiła na sobie moją uwagę, merda wesolo ogonkiem.

Wykupiłam całą dostawę mączników w zoologicznym! Nakarmiłam ptaszki i obserwuję... Niby wszystko ok. ale wydaje mi się, że Mini nie robi kupki. Może się zatkał tak jak kiedyś Midi?!... Masuję mu brzusek, ale efektów nie ma. Zauważam, że dupsko ma obklejone, więc może tu tkwi przyczyna. Trzeba umyć tyłeczki! Nie ma rady... Wacik, letnia woda i jazda! Nic się nie dzieje... Zauważam, że na brzuszku jakby w jednym miejscu nie miał piórek, tylko różowa skórka. Jakaś opuchnięta mi się wydaje, jak jakiś bąbel?... Przemycam brzusek letnią wodą i osuszam wacikiem. Maluch oponuje ostro przeciw moim zabiegom kosmetycznym, a włożony do pudełka biegnie pożalić się kolegom. Po chwili usypia przytulony do termoforu. Eeee... chyba przesadzam z tymi obawami! Niech śpi.

08.08.2009. Dzień dwudziesty (sobota)

Niestety, złe przeczucia mnie nie myliły... Mini odszedł dziś w nocy. Nie wiem co się stało, bo przecież wszystkie dostawały takie samo pożywienie, a Maks i Midi są w dobrej kondycji. Teraz boję się, że któremuś z nich coś się stanie...

Wsadziłam malucha do pudełka po lodach i zakopałam na łące. Jest mi strasznie smutno.

Lecę do Biedronki po nowe pudło. To po chipsach jest ogromne, ale cóż... biorę! Teraz mają dużo przestrzeni. Istny pałac! Nakarmiłam oba. Przytuliły się do termoforu i drzemią.

Po rozmowie na gg z Agnieszką, skłaniam się ku przekonaniu, że kleszcz, którego Michał zjął z Mini, mógł mu jednak zrobić krzywdę. Albo go na tyle wyssał (i dlatego łatwo dał się zdjąć, bo już był nażarty!), że maluch nie zregenerował sił, albo jakimś choróbskiem uraczył. Może rzeczywiście?... Ten „bąbel” pod brzuszkiem, hmmm... Pewności nie będę mieć nigdy. Teraz co pięć minut zaglądam do pudełka i sprawdzam co z pozostałą dwójką. Jestem już bardzo zmęczona tym napięciem...

Agatka wsparła mnie meilem. Napisała tak pięknie, że nasz maluszek fruwa już za Tęczowym Mostem i jest mu dobrze. A mnie napawa optymizmem myśl, że mam takie wspaniałe przyjaciółki, z którymi mogę podzielić się smutkiem tego rodzaju, który nie każdy rozumie. Dla niektórych to przecież istne dziwactwo, żeby tak się przejmować jakimś tam małym ptaszkiem. Ale przecież życie jest bezcenne i każdy ma je tylko jedno. Ptaszek też!

Midi świergocze wtulony w Maksiego. Maks spogląda wciąż w górę. Mam wrażenie, że chciałby już polecieć. Nie wiem czy uda mi się to odwlec do poniedziałku, kiedy wróci Kasia, bo podświadomie czuję, że to najwyższa pora. Mam wrażenie, że zaczyna się czuć uwięziony i że przetrzymuję go na siłę. Zobaczmy jak będzie jutro...

09.08.2009. Dzień dwudziesty pierwszy (niedziela)

Od samego rana Midi świergocze jak najęty. Jest chyba wiecznie głodny, bo przy karmieniu cichnie (gdzieś przy ósmym robalu, a potrafi wrębać nawet trzydzieści porcji!). Za to Maks wyraźnie ma dość mojej opieki i chyba chce już się usamodzielniać. Wyrwa się stanowczo przy każdej próbie wzięcia go na ręce, a karmienie staje się udręką. Szczęśliwa jestem, gdy uda mi się wrzucić mu w dziób 5-7 porcyjek. Jest wyraźnie zniecierpliwiony. Postawiony na

podłódze przefruwa energicznie przez pokój i zatrzymuje się na drzwiach. Rezygnuję z tych eksperymentów, bo boję się, że rozbije się o sprzęty. Jutro wraca Kasia i zrobimy próbę wypuszczenia. Nie wiem czy Midi polecą, ale będę szczerze zdziwiona jeśli nie polecą Maksi. Przeczucie mi mówi, że on jest już gotów od kilku dni. Oby tylko była pogoda...



10.08.2009. Dzień dwudziesty drugi (poniedziałek)

Za jakąś godzinkę Kasia z Piotrkiem powinni się zjawić. Ciekawa jestem co powie na widok ptaszorków. Nie widziała ich dziewięć dni, a to strasznie dużo. Ja mam je w rękach na okrągło, więc nie zauważam tak tych zmian.

Kręcę filmik komórką. Dwa ptaszorki w pudle tulą się do siebie. Midi świergocze na całe gardło. Wysłałam to cudzo po rodzinie i przyjaciołach. Wszyscy są zachwyceni.

Przyjechali. Kasia zaskoczona tym, jak Pitagi urosły. Za jakieś dwie godzinki pójdziemy zrobić próbę wypuszczenia. Maksi wyrwał się Kasi z rąk i przeleciał przez pokój. Myślę, że dzisiaj się odważy na lot. Midi chyba jeszcze nie. Zobaczymy...

Mierzenie skrzydełek:

Maksi ma 16cm

Midi prawie 15cm!

Im bliżej wyjścia, tym bardziej boli mnie żołądek. Nie wiedziałam, że to będzie takie trudne! Chcę, żeby poleciały, ale już na zapas się martwię jak sobie później poradzą. A jak zaczną padać?!... Ciepłego termofora nikt im nie przyniesie, żeby się ogrzały. Najchętniej

zapakowałam im do węzełków po garści robalków, bo nie wiadomo kiedy uda im się coś upolować. Rety! Chyba zwariowałam!!!

Jest po jedenastej. Pogoda wymarzona. Włazimy na stary nasyp kolejowy. Pod nami cudna łąka, nad nami błękitne niebo. Piotrek szykuje aparat, żeby uwiecznić ten moment. Kasia schodzi na dół, żeby w razie czego zbierać nieszczęśników.

Biorę na ręce Maksiego. Sadzam go na dłoni, a drugą przykrywam, wystawiając tylko łeppek (niech się najpierw porozgląda) ale on energicznie domaga się uwolnienia. Puszczam... Wystartował jak z procy! Chwilę leciał trochę w dół, prawie na Kasię, ale zaraz wzbił się wysoko w niebo. Przeciął błękit jak czarna strzałka z taką pewnością, jakby robił to od zawsze. Zatoczył nad nami łuk, jakby chciał się pożegnać. Wzruszenie ścisnęło mi gardło...

Teraz Midi. Wyjęłam go z pudełka i posadziłam na dłoni. Palcem drugiej dłoni lekko go asekuruję, ale on nie jest jeszcze gotów. Nawet nie podejmuje próby. Kuli się i wycofuje rakiem w kierunku mojego nadgarstka. Czuję jak w panice wbija pazurki w moją skórę i wczepia się jak rzep. Kuli się, odwraca głowę i patrzy na mnie niemal z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: „Co ty robisz?...Nie, nie, nie! Ja się boję! Jeszcze nie dzisiaj...”

Nie zachęcam go nawet, bo gdyby teraz się zerwał i zniknął mi gdzieś w pobliskich krzakach, nie mogłabym chyba zasnąć z niepewności.

Wracamy do domu z Midi. Porcja robali, termofor i do pudła. Cisza... Mój maluszek jest sam. Nie ma komu piórek dziobać i do kogo ćwierkać. Wydaje mi się, że jest smutny, ale to pewnie moje chore wymysły. W każdym razie ta cisza źle na mnie działa.

11.08.2009. Dzień dwudziesty trzeci (wtorek)

Kasia obudziła mnie o 6,00 informacją, że Pitąg strasznie się tłucze po pudle. Zaglądam, a ten mały „Batman” zasuwają, trzepiąc skrzydłami, jakby chciał wyfrunąć z pudełka. Poranna gimnastyka, czy co...? A może zmarzył trochę, bo termofor zimny, a przytulić do kogo się nie ma?...

Lecę ciąc robale. W międzyczasie wrzucam małemu gorący termofor do pudła, a ten od razu do niego biegnie i uspakaja się. Karmię go po chwili. Wciąga trzydzieści kawałków mączniaka i przytula się znów do gumowego kaloryferka, zawiniętego w ściereczkę.

Dziś od rana leje... Czy Maksi jakoś sobie radzi? Dokąd zdołał dolecieć od wczoraj? Może tam nie pada?... – pytania lęgną mi się w głowie.

Kasia posadziła ptaszka na dłoni. Sfrunął z gracją na sofę kilka razy z rzędu. Już wie po co ma skrzydełka! Rośnie w nas nadzieja, że uda mu się za tydzień polecieć. Michał śmieje się, że jak spotka się z Maksim w Afryce, będą wspominać jak razem siedzieli w pudle. Hi, hi!

12.08.2009. Dzień dwudziesty czwarty (środa)

Obudziłam się o 7,00 rano z lękiem. Wczoraj już o 6,00 był alarm, że ptaszek głodny, a tu

cisza?!... Nie wiem czy najpierw lecieć sprawdzić co u niego, czy ciąć robale. Lecę ciąć. Teraz z bijącym sercem podchodzę do cichego pudełka, podnoszę baldachim z gazy... a tu siedzi takie małe i gapi się na mnie tymi swoimi czarnymi ślepkami. Czterdzieści „parówek” ląduje w gardelku i ze świeżym termoforkiem Pitąg wraca do pudełka. Jest coraz silniejszy. Cieszę się, patrząc na jego postępy, ale jestem już szczerze zmęczona i to nie tyle karmieniem co dwie godziny, co ciągłym napięciem. Po stracie Mini wciąż prześladowuje mnie strach, że coś może się stać. Boję się o Midi, bo choć ślicznie je i dziarsko macha skrzydełkami, w porównaniu z Maksim wydaje mi się taki kruchy... Chciałabym go jak najszybciej wypuścić, widzieć jak wzbija się w niebo, a jednocześnie boję się tej chwili. Strasznie się związałam emocjonalnie z tym maluchem i on ze mną chyba też. Kiedy wkładam rękę do pudła, wybiega po niej jak po kładce, machając energicznie skrzydełkami. Uczępiony palców mojej dłoni, siedzi jak mała papużka i rozgląda się ciekawsko po świecie. Kiedy chcę go odłożyć do pudła, pazurkami trzyma się mocno moich palców i wcale nie ma ochoty na powrót do swojego domku. Kiedy pogwizduję, on odzywa się, popiskując. Rozczuła mnie to, a jednocześnie niepokoi. Może za bardzo go oswoiłam...? On przecież ma wrócić do natury, być dzikim stworzeniem!

13. 08.2009. Dzień dwudziesty piąty (czwartek)

Dziś Midi wytrzymał do 7,00 a potem zaczął trzepotać skrzydełkami, uderzając o ścianki pudełka. Karmienie co dwie godzinki po czterdzieści porcyjek robalkowych. Jest coraz silniejszy i z ręki frunie prosto na sofę z wielkim wdziękiem. Mam wrażenie, że gdyby miał więcej miejsca, pofrunąłby dalej. Do soboty zostało niewiele czasu. Wiele dałabym za pewność, że sobie poradzi, ale kiedy zniknie nam z oczu, nigdy się już tego nie dowiem...

14. 08.2009. Dzień dwudziesty szósty (piątek)

- Mamo, Pitąg zaraz odfrunie razem z pudełkiem! – obudził mnie głos Kasi. Lecę kroić robale. Szybko przemywam twarz, bo taka zaspana mogę ptaszorkowi nie trafić do dzioba. Nakarmiwszy stworka, kładę się z powrotem do łóżka (tak na pół godzinki, żeby dospać) i budzi mnie o 8,00 Kasia zaproszeniem na kawkę i śniadanko. - O! Jak miło... – gramolę się, wtrynam bułkę i lecę znów ciąć żarcie dla kurdupla.

Teraz Midi już bez przerwy trzepocze skrzydłami, wspina się po ściankach pudła, skacze z termofora i wyczynia takie rzeczy, że aż się boję, by sobie czegoś nie uszkodził. To chyba najwyższy czas, by pozwolić mu odlecieć. To już jutro...

Zmierzyliśmy mu długość skrzydełek. Jestem w szoku – ponad szesnaście centymetrów!!! Parę dni temu miał niecałe 15 cm. Jak to możliwe?!... Obliczyłem, że odkąd jest u nas, skrzydełka rosną mu średnio 2 mm na dobę.

Pakuję w Pitąg robalki. Jest już taki energiczny, że trudno go przy karmieniu utrzymać, ale walczę, by wtrynić mu jak najwięcej, bo... no właśnie, to tak, jakbym chciała go nakarmić na zapas. Ciągłe się zastanawiam, czy i kiedy sam sobie coś upoluje?... Tu królewicz ma podane prosto do dzióbka...

15.08.2009. Dzień dwudziesty siódmy (sobota)

Marnie dzisiaj spałam. Prześladowała mnie myśl, że coś może się stać z Midim. To by było okropne, gdyby nie doczekał odlotu! Chyba najwyższy czas, żeby poleciał, bo ja za bardzo to przeżywam. Wciąż go obserwuję i doszukuję się czegoś, oceniam jego formę. Zachowuję się jak dziwaczka!

Za 2-3 godziny idziemy go wypuścić. Żołądek skręca mi się w trąbkę. Jestem pełna obaw. Ptaszek ma się dobrze, czego o mnie chyba nie można powiedzieć. A niech już leci!...

Kurcze... Midi jakiś taki wyciszony siedzi, przytulony do termoforka... Może czuje, że dziś coś ważnego ma się wydarzyć...? Kasia mnie uspakaja, że wszystko ok. Zobaczymy... Jak nie polecą dziś, to do czwartku ma czas.

Idziemy na nasyp. Stąpam uważnie po torach, niosąc pudełko nakryte gazą, spoglądam co rusz na małego. Nieco się ożywił na widok słonka. Zdejmuję gazę, żeby sobie jeszcze z pudełka popatrzeć w niebo. Po chwili widzę, że ma otwarty dziobek, więc kilka kropelek wody ze strzykawki, bo pewnie mu się chce pić. I nagle odkrycie! - Okazuje się, że przyczyna otwartego dzioba jest inna: nad pudełkiem krąży kilka małych muszek! On się przymierza do polowania! Brawo malutki! No to jestem o ciebie spokojniejsza...

Biorę malca na rękę. Wierci się niecierpliwie. Jeszcze na pożegnanie buziaczków i... kupka, która spływa mi po nadgarstku hi,hi! Nagle zryw i ziuuu!

MÓJ MAŁY PTASZEK POLECIAŁ!!!

Przeleciał nad łąką, zatoczył nad nami kilka kótek, jakby chciał się pożegnać, po czym wzbił się wysoko w niebo. Przez jakiś czas widzieliśmy go jako czarną kropkę na tle białej chmury. Potem kropka nieco się przybliżyła, ale już nie sama, a w towarzystwie innych kropek. Stado jerzyków, niczym małe, czarne półksiężycy zatoczyło łuk i poszybowało nad pobliskimi budynkami. Teraz jest wśród swoich. Mam nadzieję, że doleci do Afryki. Siedzę przy komputerze i kończę pisanie dziennika. Obok mnie stoi na stoliku wielkie pudło po chipsach. Puste... Leży w nim tylko, wciąż jeszcze ciepły termofor...

Leć mój mały, czarnooki ptaszku i bądź szczęśliwy!

Więcej zdjęć można obejrzeć w Albumie "O jerzyku"